

Podsiad Karłowicz

Łomża 1989. 03 24

Łomża

ul. Moniuszki 6/1. II/337

Ł

fu
Województwo
Wielkopolskie

WPL N 607

Nr 612/1989

© ARCHIWUM WSKŁADNIE

Konkurs pod hasłem: „Wschodnie losy Polaków”

Ogłoszony przez redakcję „Kontakty” wspólnie ze stowarzyszeniem „Stępień” konkurs pod hasłem „Wschodnie losy Polaków” wyprowadził we mnie naukę wspomnień najtrudniejszego, mogła nawet określić jako kosmornego okresu życia tj. ciotko 5 lat przeżytych daleko na wschodzie, na Syberii. Pierwsze moje ciężkie przeżycia rozpoczęły się w dość wczesnym okresie mojego życia. Mając 9 lat tj. w czerwcu 1939 roku zmarła moja matka. Miesiącami wówczas we wsi Kąty z ojcem i siostrą. W wyławianiu nas pomagała ojcu ciotka. Gdy w 1939 roku na naszym terenie rozpoczęły się działania wojenne ojciec mój zaciągnął się do oddziału partyzanckiego. Na wiosnę 1941 r. ojciec (mój) otrzymał wezwanie do NKWD tj. postrach wojny rosyjskiej w ten sposób celem niewolniczego stawienia się do nich. Ojciec nie stał się na te wezwanie obawiając się, że zostanie zamknięty w areszcie. Miał podstawy do takiego obaw, gdyż również siostrę została zamknięta w talibie sąsiednich okolicznościach. Były również i takie przypadki, że z zaskoczenia, np. przy rajdach, nocą zabierano wielu mężczyzn prosto z łóżka. Przedstawiciel, który mam do dziś blisko w pamięci przeżył ważnym rankiem 20 czerwca 1941 roku, kiedy to obudził nas głośne uderzenia w drzwi i okna

naszego domu w Koztal. Byli to dwaj żołnierze radzieccy i dwaj cywile - Polacy. Po otwarciu drzwi natychmiast ubierało się i bez żadnego oporu zabierało się z nimi twierdząc, że bedziemy ewakuowani na odległość 100 km, bo właśnie tutaj aktualnie jest strefa nadgraniczna. Zawieziono nas tj. mnie, moją siostrę i ciocię, która wówczas opiekowała się nami furmanką do Tomiży Podczas popędzenia nas, wstąpić w biegu zabraliśmy z sobą kuchenki duleba, kawatek stoniny. Nic więcej, nawet z ubioru nie udało nam się zabrać. Podczas przewożenia nas do Tomiży, jedna z rodzin odstąpiła nam jedną posciel, wówczas też zobaczyliśmy, że wywożono z Koztów również i teży inne rodziny. W Tomiży załadowano nas do transportu kolejowego, którym wytknę przewożono świnie i właśnie w jednym z takich wagonów „świniskich” załadowaliśmy jechaliśmy wspólnie z 19 osobami. W śniadanie nasz transport dotężono do innego wagonu takiego samego rodzaju transportu, którym wieziono nas w kierunku wschodnim. Wagoniki w tych wagonach były naprawdę nieludzkie. Spaliśmy na węgłach postawionych przyrząd, ledwo nie czepiali się na nich, zaspokajanie potrzeb fizjologicznych odbywało się również na miejscu, nie mieliśmy wody do mycia, porządowo również do picia, niejednolitość na myśl mi przychodzi chodzące po nas i woliło nas również wozaka robactwo. Pierwszy posiłek otrzymaliśmy po dwóch dniach jazdy, było to: trzy kuchenki

chleba i dwa wiadra wody na cały wagon. Poindej talie same porcje otrzymywaliśmy co drugi dzień. Podróż do celu trwała 49 dni. Wówczas to znaleźliśmy się w głębi Syberii za Nowosybirskiem, w miejscowości Tapaycha tj. w pobliżu miasta ^{BARNAU} Barnaul. Właśnie tam odebrano od podwoju największą ilość wagonów tj. siedem, w tym również i ten wagon, w którym odbywaliśmy podróż my. Na poprzecznych matych stajkach porostawiano na ogół jedną lub kilka rodzin. Porostawiono nas na stacji bez żadnej informacji i opieki. W takiej niepewności, czując się jak porostawieni na pastwę losu przebywaliśmy tam kilka najsiedem godzin, po czym skierowano nas do baraków w tym mieście. Spaliśmy tam na podłodze drewnianych porostawieni jeden obok drugiego tak, że jeżeli ktoś chciał przejść to dostownie deptał tych leżących. Nic otrzymywaliśmy tam nic do jedzenia. W ciągu dnia chodziliśmy po ulicach i do sklepu przenieśliśmy o kawałek chleba, który tam był na kartli tj. 15 kłigny osobę, nie więc dziwnego, że na ogół go nie otrzymywaliśmy, gdyż wszyscy obawiali się konsekwencji, jakie mogły być w stosunku do nich wyciągnięte. Tutaliśmy się tak, opadając coraz bardziej z sił i obawając się o najgorsze. Gdy po siedmiu dniach pobytu tam poinformowano nas, że będziemy przesiedleni furmankami do Souchoru, gdzie będziemy pracować, poculiśmy się jak wybauwieni od śmierci. Umieszczone nas w Ciściusko Ciściłto Souchorze, drugim oddziale, w baraku, który wreszciej musiał chyba służyć

jakie sala na występy artystyczne, gdyż znajdowała się w nim scena, na której uładowaliśmy się do smu. Przebywaliśmy w tym baraku tylko na czas smu, gdyż wówczas a była to pięćnaście lat, od wschodu do zachodu słońca przebywaliśmy na polu przy pracy. Podczas pracy w polu otrzymywaliśmy dwa razy dziennie zupę, przeważnie z brulaci lub ziemniaków oraz wodę do picia. Moim zajęciem jako jedenastoletniego chłopca było noszenie wody do picia. Każdy pracujący otrzymywał ponadto 30 dekų dleba (dziennie), który był wytwarzany z trz. psładu z dużę ilością piestumu. Te niedne wyżywienie jakie otrzymywaliśmy przy ciężkiej pracy w polu, często w upale było całę zapłataż zararem a ponadto pracy nie można było kończyć wcześniej niż przed zmierzchem a wychodzić w pole później niż o wschodzie słońca. W zimie pracowaliśmy przy dowożeniu drewna, rębaniu drewna, wywożeniu zdechłych ków, którzy tam dużo padali, a za te prace otrzymywaliśmy talon na zupę. Zima tam była bardzo mroźna z temperaturę w granicach 40° mrozu i silnymi wiatrami. Gdy silne wiatry utworzyły pólzine zaspy nie mogliśmy się ruszyć z baraku nawet po wodę do studni, która była zasypana śniegiem. Taką sytuację zmuszala nas do robienia wody ze śniegu topiąc go w wiadrze na kucłm. Naszym siłstecznym posiłkiem była przyniesiona przez ciocię zupa

z utartych ziemniaków ugotowanych razem z polwojowymi w kostkę trzema ziemniakami. Takie warunki życia mieliśmy podczas całego okresu pobytu tam tj. od ~~marca~~ czerwca 1941 roku do jesieni 1943 roku, kiedy to uciekliśmy do oddalonego o 25 km. kołchoza w Partionowie. Mieszkaliśmy tam razem z innymi Polakami, którzy przyszli nas do swojej ziemi. Pracowaliśmy tam w kołchozie przy podobnych pracach jak poprzednio w sowchozie, z tym, że nie były tu już tak bardzo trudne warunki pracy i życia. Otrzymaliśmy tutaj też działek o pow. kilku arów, na której mogliśmy posadzić trochę ziemniaków na przetrwanie zimy. W takich warunkach żyliśmy tutaj do końca pobytu tj. do wiosny 1946 roku. Wówczas to poinformowano, że możemy powracać do Polski. Furmankami odwieziono nas na stację do ^{TAPCZYCHY} Tapczychy, gdzie oczekiwaliliśmy cały tydzień na podstawienie pociągu dla nas. Tam też uszytków powracających obdarowano prowiantem, który miał nam wystarczyć na 20 dni, była to kasza, mąka i kilka konserw otrzymanych od czerwonego krzyża. Podróż ^{powrotna} do domu w Polsce trwała cały miesiąc. Podczas podróży z posiadanymi produktami życia przyrządzano bardzo proste potrawy.

Wadeł